

szukanie

dzielił nas wąski, półokrągły krawężnik.
skwer musiał być zaniedbany, bo pamiętam
za wysoką trawę, mleczce i tabliczkę: *szanuj zieleńce*.
krawężnik był szary i betonowy, a później już nie,
tracił gęstość, barwę i charakter, z dnia na rok.
pozostała tylko ta bujna, mleczna trawa
pomiędzy traumą, pszczołą
i zjawą matki, której dłoń przenikała moją.

łuna

jeżeli daliby mi wybór,
chciałbym być światłem –
tworzeniem w rozproszeniu,
świadomością skupienia.
gaśłbym jedynie po to, by odpoczęli
od życia, które przeoczyli, biorąc do rąk
lampę zamiast świecy.
przypomniałbym im o ogniskach,
wokół których tańczyli i śpiewali swoje światy
z dłońmi oddalonymi od kieszeni śmierci.
lecz boję się tego ostrego blasku,
jakim jaśnieją ich mokre twarze,
gdy palą się ich domy.

zwrot

Boże mój, któryś mnie nie zbawił
z powodu, że nabożeństwo się przedłużyło
i rozdawali łańcuszki aluminiowe, liche,
gówniane, rozchodzące się, jak świeże pączki
w dłoniach naiwnych okadzonych
obietnicą dobrej pogody we żniwa.

Boże mój, któryś objawił się w gorejącym krzaku,
co go chłopcy gasili i zgasić nie mogli,
a nogi im się płątały obok przecież stodoły
marnej, wiekowej bo już, ale ważnej,
gdyż liczy się wnętrze.

Boże mój, któryś ukochał mnie
miłością tak wielką, że czuję
się bardziej związany z jabłkiem
niż z Tobą.

Boże mój, co żeś mnie wywiódł z ziemi -skiej,
skąd wszelkie robactwo, ale też trawy,
drzewa i kwiaty nadobne, jak zastępy
aniołów w godzinach mroku,
gdy siedząc o świece, patrzymy na siebie
w milczeniu.